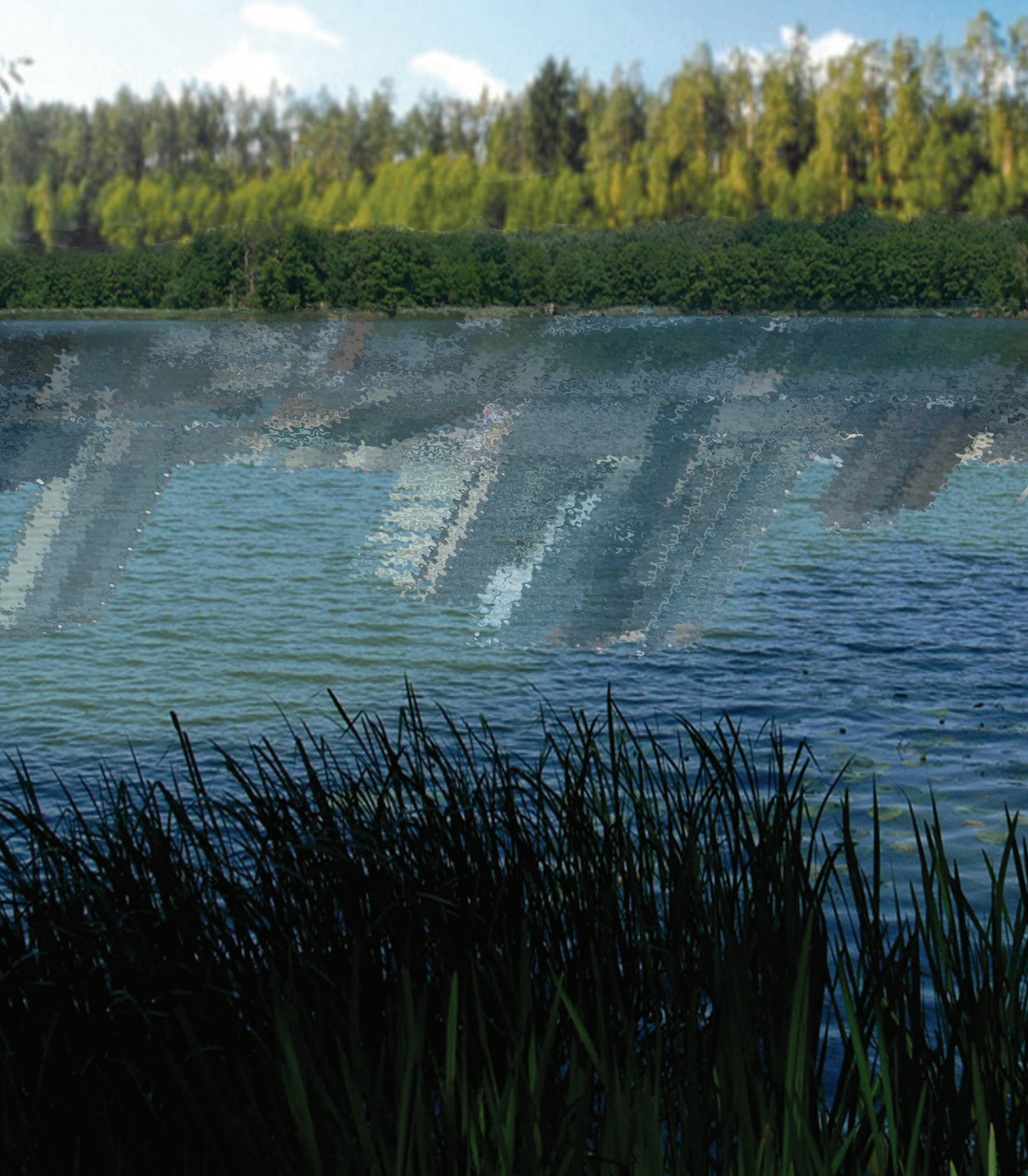


KRZYSZTOF BEŚKA

BUIVERANG



Krzysztof Beśka

BUMERANG

Wydawnictwo Nowy Świat

Warszawa 2007

Kuba zatrzymał się na krawędzi schodów i rozejrzał dookoła. Pilnująca swojego kramu handlarka sznurowadłami, pumeksami, korkowymi podpiętkami i indyjskimi kadzidełkami, zabiedzona kobiecina w brudnym fartuchu, przyglądała się przechodniom z obojętnością, w której jednak można było wyczuć coś wrogiego. Jedno z kadzidełek nawet się paliło: wąska smużka dymu unosiła się pionowo ku pełnemu zacieków i stalagmitów sufitowi korytarza. Nie poruszał jej najmniejszy podmuch.

Mężczyzna wciągnął w płuca gorące, niemal lepkie powietrze, jakby za chwilę miał zniknąć w wodach nieznanego jeziora, i ruszył w dół, po zalanych ciemną cieczą, zaśmieconych niedopałkami i kartonikami reklamowych ulotek kamiennych stopniach.

– Do Katowic, kto z państwa, do Katowic? – czerwony na twarzy, starszy mężczyzna na pokracznie wykrzywionych odnóżach rozpoczynał kurs wzdłuż kolejnego ogonka do kasy biletowej. – Pan może do Katowic?

Kuba pokręcił głową, energicznie, żeby nie było najmniejszych wątpliwości. Zrobiło mu się jeszcze bardziej gorąco na myśl o Katowicach, chociaż nigdy nie był w tym mieście. Wołał też nie mówić, dokąd się wybiera – a nuż nagabywacz zmieniłby zdanie i wspaniałomyślnie zdeklarował się jechać akurat w tym samym kierunku? Wszystko mu jedno, z tego przecież żyje! Nie chodzi przecież po Centralnym, bo akurat tak się szczęśliwie złożyło, że ma wolne miejsce w samochodzie albo zbędny bilet na Śląsk i chętnie, tak z czystej ludzkiej sympatii, kogoś ze sobą zabierze. Zawsze odciaga na stronę swoją ofiarę, która nieopatrznie wykazała choć cień zainteresowania ofertą, następnie przedstawia mocno sfatygowaną legitymację I grupy inwalidzkiej i proponuje, żeby z nim jechać w charakterze opiekuna. Oczywiście, że nie za darmo. Tyle samo co w kasie, więc co za różnica!

Kubie nigdy nie było żal tego człowieka. Podobno udawał tylko kalectwo, a twarz smarował sobie ćwikłowym burakiem, żeby wzbudzała współczucie.

– Mikołajki, do Olsztyna pospieszny – Kuba wyrecytował do przyklejonego do szyby mikrofonu-głośniczka.

– Normalny? – pruknęło z sitka.

– Ja czy bilet?

Kasjerka zrobiła obrażoną minę i nie pytała już o nic więcej. Sypnęła drobniakami reszty na kręcącą się tackę. Obok położyła zadrukowany arkusik papieru.

– Dzień dobry – uklonił mu się nieznajomy chłopak.

Stał przyczajony przy okienku. Dwudziestoletni może, ubrany był w osmoloną dzinsową kurtkę i postrzępione spodnie.

– Dzień dobry panu – odparł Kuba wesoło, choć nawet nie próbował sobie przypominać, skąd może go znać.

Chłopak w brudnoniebieskim komplecie próbował się wyprostować, a w jego oczach, być może jeszcze nie do końca otwartych po krótkim, czujnym śnie dworcowego zwierzęcia, błysnęła nadzieja.

– Ma pan jakieś drobne? Dwadzieścia groszy... – wyjęczał zachrypniętym głosem swoją krótką litanie, wyciągając przed siebie brudną, trzęsącą się dłoń.

– Mam – odparł ze spokojem podróżny, na co jego nowy znajomy wydał z siebie jęk tyle dramatyczny, ile zupełnie niezrozumiały.

Kuba schował starannie portfel, równie starannie śledzony wzrokiem żebraka, a z drugiej kieszeni wyciągnął chustkę, którą wytarł czoło. Przełożył bagaż do drugiej ręki, poprawił futerał w kształcie tuby, przewieszony przez ramię, i znów z ciekawością rozejrzał się po hali dworca, jakby oglądał ją po raz pierwszy. Wszystkie te czynności wykonywał z rozmysłem, powoli, jakby starał się, by zauważyła go nie jedna, tylko wiele par oczu, a jednocześnie jakby nie przestawał powtarzać sobie w myślach: „dobrze robię, tak, właśnie tak, nie inaczej”.

Postąpił kilka kroków w stronę wyjścia na perony, po chwili jednak znów się zatrzymał...

– No dobra, masz – Kuba położył monetę na parapecie, przy którym w niemal niezmienionej pozie ślęczał nastoletni żebrak.

– Dziękuję.

– Ale to ostatni raz. Może będziesz miał więcej szczęścia niż ja.

Zawsze zastanawiał się, jak będzie wyglądał jego ostatni dzień w tym mieście. Ostatni nie przed wyjazdem na święta, wakacje, ale ostatni w ogóle, choć słów „na zawsze” starał się używać rzadko.

A zatem jak? Co wtedy zrobi, dokąd pójdzie, czy będzie miał w ogóle czas dokądkolwiek iść. Czy będzie miał wybór, bo może przyjdzie mu uciekać jak złodziej lub obcy król pod osłoną ciemności, które jednak do końca nie zapadały tutaj nigdy; może nad ranem, obudzony waleniem w drzwi, mając potem zaledwie kilka chwil na wzucie butów i narzucenie płaszcza na niedopiętą piżamę.

Pożegnania są zawsze trudne zarówno dla żegnających, jak i żegnanych. Jeżeli żegnającym jest jednak ulica miasta bądź jeden z jego parków? Ilu

już widziały takich dumnych zdobywców, poszukiwaczy świętego Graala, kaszlących nad filiżanką kawy poetów w lichej marynaruni i zdartych butach?! Nie starczyłoby drzew w parku, gdyby każdy z nich chciał zostawić na ich korze wyryte nożem inicjały, i płytek chodnikowych na trotuarze, na których stał jeden z drugim i rozdawał ulotki, potrącani i łżony pod nosem, bo przechodnie spieszą się tu zawsze, choć nikt nie wie dokąd i po co.

Bardzo łatwo można by było narazić się na rozczarowanie: na przykład ulubiony stolik w kawiarni, ten przy oknie wychodzącym na odcinek Nowego Świata między rondem de Gaulle'a a Foksal okazałby się zajęty; ulubiona ławka w Łazienkach, ta niedaleko Teatru na Wyspie – zapaskudzona błotem bądź też okupowana przez niedzielnych spacerowiczów, opychających się lodami. Most, z którego tak wiele razy spoglądało się w nurt rzeki i na panoramę Starówki, stałby co prawda na swoim miejscu i spinał pracowicie dwa brzegi Wisły, ale dojazd do niego był wyprawą zbyt ryzykowną i niebezpieczną, także ze względu na czas pozostały do odjazdu pociągu.

Kuba zawsze zastanawiał się, jak pożegna to miasto, do którego przyjechał w poszukiwaniu czegoś, czego już dziś nie potrafił nazwać. Czy z bólem głowy po zakrapianym pożegnaniu, które zgotowali mu znajomi i które przeciągnęło się jak zwykle do późnych godzin nocnych, a w miarę upływu każdej – i bliscy mu ludzie, i on – główny bohater wieczoru, będą mieć coraz więcej wątpliwości.

Czy to zrobi?

Czy weźmie rano spakowaną wieczorem torbę podrózną albo plecak, ureguluje płatności, odda klucz i uściśnie dłoń właścicielowi wynajmowanego mieszkania, który okazał się jednak porządnym człowiekiem, i objuczony jak uciekinier przed frontem pomaszeruje na przystanek.

Czy będzie wtedy padał deszcz, czy będzie świeciło słońce. I jedno, i drugie z pewnością tylko utwierdzi go w słuszności podjętej decyzji. Ucieczka przed upałem, jak i przed deszczem przyspieszy historię, a to, co nastąpi potem – burza albo roz pogodzenie z tęczą, znakiem nadziei – pozwoli szybciej zapomnieć.

– Uda się? – zapytał jeszcze raz sam siebie, spoglądając przez brudne szyby dworca na śródmiejskie wieżowce.

Czy uda się wyrzucić kartę magnetyczną, na której można zakodować bilet miesięczny; pozbyć się karty bibliotecznej i śmiesznego, plastikowego kluczyka, dzięki któremu można było wypożyczać kasety wideo w sieciowej wypożyczalni? Podrzeć na skrawki kartę wstępu do klubu, dwa bilety na do-

wolnie wybrany seans filmowy, będące nagrodą za zakup powyżej pięciuset złotych w sklepie z markowymi ciuchami, i kupon, na którym zbierało się pieczętki przy zakupie każdej kawy, by przy ósmej otrzymać gratis firmowy kubek? Pozbyć się resztki biletów wizytowych? Wyrzucić do kosza bezpłatną gazetę ze złymi wiadomościami z tego miasta, z kraju i ze świata?

Tyle przedmiotów wiążących go z tym miejscem, dla którego jednak chyba na zawsze pozostałby bezimiennym przechodniem, elektronicznym impulsem w bramce na stacji metra, niewiele mówiącym imieniem i nazwiskiem na długiej liście internetowego spamu, anonimowym bohaterem ankiety przeprowadzanej przez studenta socjologii, rozmażanym, ruchomym elementem tła, na którym dziennikarz telewizyjnego dziennika przekazuje wiadomości. Jeszcze gorsze niż te z gazet...

– Pociąg ekspresowy z Krakowa Głównego wjedzie na tor drugi przy peronie trzecim... – odezwał się w megafonach ciepły kobiecy głos.

Kuba spojrział na tablicę odjazdów, potem na zegarek i omijając szerokim łukiem kilku kolejnych, gotujących się do ataku stałych mieszkańców tego przybytku, którzy przypominali swym wyglądem bajkowe trolle, szybkim krokiem ruszył ku wyjściu.

– Do Katowic, kto z państwa do Katowic? – wytrwały nagabywacz rozpoczął kurs wzdłuż następnego ogonka do kasy biletowej, w pewnej chwili jednak odwrócił się raptownie i huknął z bliska, aż Kuba poczuł jego nieświeży, przesycony medykamentami i cebulą oddech. – Pan może do Katowic?

– Tak – odparł Kuba z zupełnie poważną miną, znamionującą zainteresowanie.

– To ja miałbym taki mały interesik do pana. Pan podejdzie, no... – rzekł starzec ścisłym głosem, rozglądając się, czy nikt nie podsłuchuje.

Wyciągnął brudną rękę, by złapać Kubę za ramię i odciągnąć na bok, ten jednak w porę zdążył się uchylić...

Lato panoszące się w mieście od kilku tygodni także i tego dnia nie zamierzało oddać pola. Przeciwnie – z jeszcze większym impetem spadło na ulice, place, domy i zamieszkujących je ludzi kolejną falą upałów, pyłu i duchoty. Nic nie zapowiadało też jakichkolwiek zmian na mapie meteorologicznej Polski. Telewizyjny prezenter wieczornej pogody nie miał nic nowego do dodania. Kto żyw i w komitywie z bogiem-bossem, wyjeżdżał zatem nad jeziora, do lasu lub na nadmorskie plaże.

Betonowa platforma, na której ustawiono żelazną konstrukcję hali dworca, przypominała pokład przycumowanego przy nabrzeżu portu transatlantyku, a wyjście na ulice miasta – zejście na ląd.

Mimo narastającego z każdą chwilą upału, od rana trwał przeładunek towaru: dwunożnych istot wysypujących się z nadjeżdżających ze wszystkich stron pociągów, dźwigających niczym rosyjscy handlarze na stadion wyładowane walizy, torby i plecaki, gubiących się w sieci peronów i cuchnących człowieczą biedą i gorącymi bułkami tuneli. Czasem już zapiętych oficjalnie, w przypadku mężczyzn, w zawsze czarne (a co tam upał!) garnitury, które jednak już niedługo – w żałobie po ambicjach i planach – dla wielu miały okazać się przyodziewkiem niezbędnym.

Kuba Piecki zjechał ruchomymi schodami o jeden poziom niżej, przystanął przy jednym z licznych w tym miejscu stoisk z prasą i książkami.

– O, Kuba!

Drgnął na dźwięk swojego imienia, ale nie od razu się odwrócił.

– Ja cię kręcę!

A, to powiedzenie to już chyba znał. Odwrócił się powoli.

Przed nim stał wysoki młody mężczyzna, przyduszony do ziemi wielkim plecakiem ze stelażem, i nie bez wysiłku usiłował się wyprostować.

– Cześć, co za spotkanie! – zawołał.

– Kopę lat, Mietek – uśmiechnął się Kuba, ściskając spoconą i zimną prawicę przybysza. – W Bieszczady czy w Tatry?

– Co ty? – zdziwił się mężczyzna z plecakiem, nazwany Mietkiem.

– Przepraszam, chciałem powiedzieć: Kaukaz czy Pireneje? – zaśmiał się wesoło Piecki.

– Co ty?! – obruszył się jeszcze bardziej tamten. – Kto ma teraz czas na wakacje? Do pracy przyjechaliśmy! U nas straszny grajdoł, żyć się nie da...

Kuba dopiero teraz zauważył niepozorną blondynkę w okularach i w sięgającej kostek letniej sukience w drobne kwiaty, dźwigającą chyba równie wielki plecak co jej towarzysza.

– Aga – przedstawiła się cicho i chyba nawet lekko przy tym dygnęła.

– Kuba.

Oboje byli do siebie podobni: szczupli, o ptasich twarzach, smutni, przygryzający wargi, obojgu jednakowo jakieś zmartwienie, niemożność albo bezradność marszczyły czoła.

On, absolwent wyższej uczelni w Słupsku, Koszalinie, a może Ostrołęce albo Łomży. Lekko łysiejący, o pociągłej twarzy, ogolony niedokładnie,

widać w porannym pośpiechu. Na sobie miał kurtkę przeciwdeszczową, a pod nią białą, wizytową koszulę, spodnie czarne, przykrótkie i ciasno opinające uda. Buty lekko schodzone. Co mógł kryć w wielkim, górskim plecaku? Resztę wyjściowego ubrania, jedwabny, związany na stałe krawat w drobne wzorki, zapasową koszulę z za małym o dwa numery kołnierzykiem. Kilka zmian bielizny, luźne ubranie, koszulka z ostatnich studenckich juwenaliów, stare džinsy, adidas – słowem, rzeczy niezbędne do przeżycia w obcym mieście dwóch tygodni, może miesiąca.

Resztę ładunku stanowiły wiktuały, domowe przetwory, weki z ogórkami, śliwkami, grzybkami w occie, kiełbasa swojska, pasztet z królika, trochę jabłek z sadu, do tego kilka kuchennych naczyń i sztućców, nóż do chleba, otwieracz do konserw, szczyryk – słowem wszystko, bez czego trudno byłoby się obejść przez dłuższy czas na obcym terenie.

Na samym wierzchu plecaka, obok poradnika *Jak osiągnąć sukces* i ulubionej lektury, znajdowała tekturowa teczka, a w niej: dyplom ukończenia studiów z wynikiem bardzo dobrym wraz z odpisami i kserokopiami, kilka wersji wydruku *curriculum vitae*, kilka niezaadresowanych listów motywacyjnych, zapas kopert i znaczków pocztowych, dwie karty telefoniczne – słowem, wszystko...

Ona. Wyglądała na siedemnaście, najwyżej dziewiętnaście lat. Świeżo upieczona pani magister kierunku humanistycznego z przygotowaniem pedagogicznym i stwierdzoną ponad wszelką wątpliwość alergią na cudze dzieci.

Co mógł w sobie kryć jej bagaż? Zagadkę spędzającą sen z powiek artystom na wszystkie sposoby opiewającym kobiecie wdzięki? Krem na dzień, krem na noc, krem na wtorek i krem na niedzielę, pod oczy, do rąk, nóg, stóp, ciała. Grzebień, szczotki, gumki i wsuwki do włosów, szampony, żele do kąpieli, balsamy i mydełko. Cienie do powiek, żeby nie pozostawać w cieniu, krem na zmęczenie, dezodorant na stres, szminka na polepszenie humoru i humory szefa lub szefowej, których... jeszcze nie ma. Tusz do rzęs i orkiestra, tusz! Idę, nadchodzę!

Oboje wygnani. Z Łomży do Emaus, z Suwałk do Mekki, uciekinierzy z Egiptu, przechodzący przez pustynię i Morze Czerwone, ciągnący za sobą zapach rodzinnych niedziel i poczekalni powiatowych urzędów pracy, zabłąkani na rozstajach dróg, umęczeni w wiecznej drodze, tułacze po poczekalniach dworców, zimnych przedziałach pociągów, barach szybkiej obsługi.

Czego chcieli tutaj, w tym mieście, na przecięciu szlaków, łączących przeciwległe krańce Starego Świata? Noclegu, strawy, dobrego słowa, miękkiej wiązki siana w małej stajence?

– Myślisz, że próbujemy za wcześnie? – niepewnie odezwała się dziewczyna.

Kuba pokręcił przecząco głową.

– To Kuba Piecki, stary wyjadacz, pionier na tej dzikiej ziemi! – cmoknął z podziwem przybysz.

– Stare dzieje – wzruszył skromnie ramionami Kuba.

– Za to ty pewnie na urlop?

– Kilka dni, nic szczególnego.

– Pewnie, kto ma teraz czas na wakacje? Ale robotęciągniesz ze sobą, takie życie – Mietek wskazał na tubę, przewieszoną przez ramię Kuby, po czym dodał swoje nieśmiertelne: – Ja cię kręcę!

– Tak się złożyło – bąknął Piecki.

– I całkiem dobrze, że nie pchasz się furą w taki skwar.

Kuba bez słowa skinął głową, poprawiając pasek tuby. Tamten rozejrzał się dookoła, jakby obawiając się, że może być podsłuchiwany, czym przypominał, Piecki od razu to zauważył, tamtego kalekę sprzed dworcowych kas.

– Odezwiesz się, jak wrócisz, co? Może akurat będziesz coś wiedział o jakimś wakacie? – przygryzł wargi, nerwowo zamrugał powiekami, po czym sięgnął do kieszeni, wydobył portfel i wyciągnął z niego biały bilet wizytowy. – Proszę.

– Andrzej... Jantar-Rawski? – przeczytał Kuba na głos.

– Taki mi wybraliśmy pseudonim – Mietek wypiął pierś do przodu, aż ładunek na plecach niebezpiecznie przechylił go ku tyłowi.

– Nie rozumiem.

– Dobrze wygląda, jak pseudo zaczyna się na literkę, na którą kończy się imię, a nazwisko... Sam widzisz. W agencjach reklamowych przecież patrzą na takie szczegóły.

– Andrzej?

– To moje drugie imię. Tak akurat pasowało, w agencjach reklamowych przecież patrzą...

– No, tak. W agencjach...